

**Maria Dorfsman-Arbus**

## **ZAGUBIONE DZIECIŃSTWO**

Lipiec 1997.

*Słowa podziękowania za udzielenie pomocy w odtworzeniu niektórych faktów sprzed wielu lat, należą się mojej kochanej siostrze, dr F. E. Dortsman*

*z miłością M.*

### **Dedykacja**

Owe wspomnienia sprzed wielu laty odpychane siłą do najdalszych zakamarków mózgu, nagle ożyły z całą siłą. Te fakty, których nie sposób wymazać z pamięci, poświęcam moim kochanym dzieciom, oraz tym wszystkim, których moje opowiadanie zainteresuje. Wszystko, co opowiedziałam, jest najprawdziwszą prawdą, widzianą oczami małej dziewczynki. I niechaj mi wybaczą, że nie wszystko sobie przypomniałam,

Autorka

### **Lusia**

Tego jesiennego dnia 1939 roku, już od wczesnych godzin porannych, rozpadał się deszcz, podzwaniając monotonnie o szybę. Kilkuletnia Lusia siedziała przy kuchennym stole, przyglądając się mechanicznym ruchom babci Rozy, która przygotowywała codzienny posiłek dla rodziny. Niewiele przy tym rozmawiała. Chwilami wydawała się bardzo smutna, co nie uszło uwadze Lusi, która bardzo kochała swoją babcie.

Spojrzenie niebieskich oczu babci było mętne i wszystkie pytania Lusi kierowane pod adresem babci, pozostawały prawie bez odpowiedzi, z czego dziewczynka była wręcz niezadowolona.

Rodzice Lusi pracowali. Ojciec pracował z daleka od domu i nie mógł codziennie wracać. Jej siostra Fela, zwana Felusią, była uczennicą drugiej klasy i była starsza od Lusi o kilka lat. Umysł Lusi intensywnie pracował. Niezadowolona była z przemienienia się z ulicy Bychawskiej na ulicę Lubartowską. Rozstanie z koleżankami odczuwała boleśnie. Lusie była dobrze rozwiniętą dziewczyną o parze niebieskich oczu i jasnoblonde włosach, skręcających się w loki, okalające jej owalną twarz.

## **Śmierć babci Rozy**

Tego roku Niemcy wkroczyli do Polski, co wprowadziło dużo zamieszania i niepokoju wśród ludności, a szczególnie ludności pochodzenia żydowskiego. Dużo słyszało się o wypadkach śmierci z powodu tyfusu.

Było jeszcze jasno, ale ów dzień miał się już ku końcowi.

Mama wróciła po ciężkiej pracy w gorzelni. Była jej na imię Lea. Była bardzo ładną i przystojną kobietą, w wieku około 36 lat, obdarzoną inteligencją i bardzo taktowną. Po zjedzeniu naprędce posiłku zabrał a się ponownie do pracy w domu.

Sprzątanie należało do obowiązków Lei. Tego dnia babcia Roza nie czuła się dobrze. Prawdopodobnie miała gorączkę, bo oczy jej błyszczały niezdrowo. Po reprimendzie mamy, babcia Roza, przekonana o słuszności tego, co usłyszała, położyła się do łóżka. Od tego dnia, wszystkie dalsze dni upływały pod znakiem choroby babci, Był to tyfus, jak się okazało. Do mamy powrotu z pracy, doglądała babci, jak również opiekowała się dziewczynkami sąsiadka, zwana panią Satanowicz.

Mieszkanie przy ulicy Lubartowskiej było wąską kiszka. Kuchnia była ciemna – bez okna i wiodła wprost do pokoju – również wąskiego. Pokój był podzielony na dwie części przepierzeniem. Za przepierzeniem stały dwa łóżka – po dwóch stronach jedyne okna.

W jednym z łóżek sypiała babcia Roza z Lusią, natomiast w drugim z łóżek – mama z Felusią. Na nieszczęście ojciec nie sypiał w domu, bo miejsca już dla niego nie było. Tata był z zawodu krawcem. Kiedyś miał swój warsztat, czy też pracownię i zespół ludzi do pracy.

Z powodu zlikwidowania pracowni, z powodu ciężkich czasów, zaczął pracować dorywczo i okresowo w różnych miejscach. Wszystko zależało od sytuacji.

Choroba babci Rozy sprawiła, że Lea i dwie dziewczynki sypiały w jednym łóżku. Z ich pokoju, na prawo przed przepierzeniem, czyli „sypialnią”, wiodły drzwi do pokoju państwa Satanowicz. W porównaniu z pokojem Lusi i jej rodziny, ich pokój wyglądał jak ogromny salon. Był on w kształcie owalu o wielu oknach, które zdobiły ładne firanki. Pani Satanowicz była kobietą o dobrym sercu, o czym Lusia wkrótce miała się przekonać. W owym okresie mama była głową rodziny. Jej zarobki były co prawda nikłe, a brzemień egzystencji które dźwigała – ogromne. Pani Satanowicz opiekowała się nie tylko babcią, ale również dziećmi pod nieobecność Lei.

Owego krytycznego dnia po powrocie Lei z pracy, w dwie godziny później mieszkanie ich lśniło czystością i gorąca stawa stała na stole. Po całodziennym wysiłku, wieczorem Lea zapadła w ciężki sen, z którego przebudziła się targana złym przeczuciem zbliżającego się nieszczęścia. Wstała, rzucając się w kierunku łóżka babci Rozy i potrząsając nią, zaczęła krzyczeć wzywając pomocy. Babcia była w agonii. Po upływie krótkiego czasu, Felunia i Lusia znalazły się w „salonie” pani Satanowicz, która z troskliwością ułożyła je do snu. Następnego dnia rano, po przebudzeniu się, Lusia usiadła na łóżku, rozglądając się po pokoju, nie rozumiejąc, w jaki sposób znalazła się tutaj. Ubrała się szybko i stanęła w otwartych drzwiach pokoju, gdzie jej oczom ukazał się widok, który głęboko nią wstrząsnął i wrył się w pamięć.

Na podłodze leżały zwłoki babi Rozy przykryte białym prześcieradłem i jak gdyby straszły Lusię. Nie było mowy, aby ją przekonać, czy też na siłę wyciągnąć z „salonu” pani Satanowicz, aż do momentu usunięcia zwłok. Pochowanie było już zwykłą formalnością i odbyło się bez żadnych ceremonii. Śmierć babci Rozy była wybawieniem dla niej samej, dla całej rodziny, jak również początkiem wszystkich mających nastąpić nieszczęść.

## **Babcia Chana**

Po tych niezwykłych przeżyciach, zaczęła pojawiać się babcia Chana, matka ojca, której Lusia prawie nie znała, czy też nie pamiętała. Babcia Chana była niskiego wzrostu, wychudzona i zawsze głodna. Przychodziła ona na Lubartowską oddaloną od Kalinowszczyzny, która należała do peryferii Lublina.

Otóż na Kalinowszczyźnie mieszkała jedna z sióstr ojca Lusi. Ma imię jej było Brandela. Babcia Chana mieszkała w Głusku, oddalonym od Lublina o 7 kilometrów. Głusk był małym miasteczkiem prowincjonalnym, zamieszkałym w większości przez Żydów. Babcia Chana z dziadkiem Jakubem wydali na świat siedmioro dzieci rodzaju męskiego, jak również żeńskiego. Ojciec Lusi – Chaim, był jednym z braci. Babcia przyjechała do Lublina w odwiedzin. Była ona już wówczas wdową od dwóch lat. Najprawdopodobniej z braku środków sanitarnych u córki była na Kalinowszczyźniem, przychodziła na Lubartowską aby się umyć i przy okazji również zjeść. Z tego wniosek, myślała Lusie, że u cioci Brandzli jedzenie było bardziej ubogie, aniżeli w rodzinie Lusi. Babcia Chana była bardzo wdzięczna, że przyjmowano ją ładnie i wyrażała się w sposób: „Lejale, abyś była zdrowa za to wszystko co czynisz dla mnie”. Niemalże obcałowywała ją po rękach. Czasy już były wówczas ciężkie i chmury nadciągały. Odwiedziny babci stawały się coraz rzadsze, aż w końcu ustały całkowicie z przyczyn niezrozumiałych dla Lusi.

## Getto

Owego straszliwego i niezapomnianego wieczoru, dały się słyszeć na schodach głosy męskie nawołujące w języku niemieckim do otwierania drzwi. Do mieszkania wtargnęli Niemcy. Żołnierze niemieccy ponaglali wszystkich do pośpiesznego opuszczenia mieszkań. W popłochu i zdenerwowaniu Lea zabrała pewną ilość przedmiotów pierwszej potrzeby i wrzuciła je do prześcieradła, z którego utworzył się tobolek i wrzucając go sobie na plecy, ujęła rękami dzieci, opuszczając mieszkanie poganiana przez Niemców, którzy nienawistnie powtarzali: Raus!

Lea z dziećmi, jak również inne rodziny, zostały wygonione z ulicy Lubartowskiej na ulicę Grodzką, która mieściła się na starym mieście. Grodzka zamieniła się w getto, zagrodzone i ściśle nadzorowane przez Niemców. Dziewczynki z Leą weszły do pokoju zapelnionego ludźmi. Od tej pory to pomieszczenie miało być ich domem.

Lea nadal pracowała w gorzelnii pod kuratelą niemiecką. Miała ona przepustkę, którą się legitymowała i na tej podstawie wychodziła i powracała do getta. W czasie nieobecności matki, dziewczynki przebywały z ludźmi, których nie znały i powoli uczyły się poznawać i przyzwyczajając do nich. Jedyną lalką, jaką Lusie posiadała była inwalida, bo nie posiadała oczu, ale to ona właśnie wypełniała jej wszystkie godziny dnia.

Trzymając lalkę marzyła o placach gry z dziećmi w jej wieku, o spacerach z rodzicami, babcią Rozą i Felusią. Ileż by dała za zjedzenie tabliczki czekolady? I w ogóle – dlaczego uwięziono ją w tym zatłoczonym pokoju?

Dziewczynki tęskniły w czasie dnia za matką pod jej nieobecność. Godziny wlokły się i zdawały się rokiem do powrotu matki z pracy. Wracając, Lea przygotowywała w trudnych warunkach ubogie posiłki, aby utrzymać siebie i dzieci przy życiu.

Koszmarem były noce, bo warunki, w jakich ludzie sypiali były nie do zniesienia. Jedni obok drugich, przykryci czym kto przyniósł ze sobą. Nikt wówczas nie wyobrażał sobie jak druzgocącą klęskę przyniosą zbliżające się dni. W owym zatłoczonym, o ciężkim zaduchu pokoju, wyczuwało się nieprzyjemne wręcz spojrzenie. Ludzie byli nastawieni do siebie wrogo. Zazdrość wywoływał lepszy kęs jedzenia, lepsze miejsce do spania. Wszystkie pytania na temat sytuacji, w jakiej ci ludzie znajdowali się, pozostawały bez odpowiedzi.

Rok był 1940. Zaczęły się odbywać akcje nocne. Wyrwanie ludzi dorosłych, jak również dzieci ze snu w celu sprawdzenia dokumentów, było aktem poniżania, jak również zwycięstwa za strony Niemców nad biedną i bezbronną ludnością. Niemiłosierne i pozbawione skrupułów były te akcje. Dyrygowali nimi esesmani o zwierzęcych spojrzeniach.

Ulica Grodzka, czyli getto, roiła się od ludzi idących parami w całkowitej, męczącej ciszy i brzemiennej strachu. Strach paraliżował wszystkich. Po środku ulicy ustawiano stół, za którym siedział esesman. Ludzie zbliżali się po cichu, legitymując się. Po obu stronach ulicy stali żołnierze niemieccy, trzymający w rękach pałki skórzane. Ty, którzy ociągali się z braku siły, czy po prostu nie mający legitymacji, tym, którzy zasypiali na stojąco i tamowali pochód, spadały ciężkie uderzenia pałek na głowę i różne inne części ciała, w zależności od pozycji, w jakiej znajdowali biedaka wyczerpanego całkowicie fizycznie.

Po zakończeniu takiej akcji nocnej, ludzie wracali do swych tymczasowych mieszkań, aby nieco rozpocząć i zebrać rozlatane myśli. Ból i nienawiść szalały w umysłach ludzkich. Jak pobite ciała i okaleczone serca wołały o zemstę! Modlili się prosząc Boga o wybawienie. Otóż te nocne eskapady powtarzały się coraz częściej.

W jednej z takich nocy, idąc w milczeniu, Lusia drzemała, szła jak lunatyczka trzymając rękę matki. Nagle usłyszała upadającą pałkę esesmana i otwierając oczy zobaczyła zwijającą się z bólu Felusię i usłyszała również pojękiwania, bo płkanie na głos było zabronione.

Lusię na ogół omijały pałki, bo potrafiła wymigiwać się od tego zwycięskiego kata. Lea cierpiała w milczeniu. Dziewczynki i ich losy były dla niej najważniejsze. O sobie niewiele myślała, jak również nie dbała. Jednego z koszmarnych dni w getcie, przy ulicy Grodzkiej odbył się nalot. Niemcy postawili sobie za zadanie, zebrać pewną ilość ludzi i wysłać ich do jednego z obozów koncentracyjnych. I wśród owych ludzi znajdowała się również Felusia i Lusia. Ich matka w tych godzinach przebywała w miejscu pracy. Po usłyszeniu ciężkich kroków i nawoływań, w niemieckim języku na schodach, w reakcji na to, Felusia pociągnęła Lusię wystraszoną ruchem rozkazu zmusiła ją do schronienia się pod jednym z łóżek. Wszyscy współlokatorzy zostali na siłę wyciągnięci z pokoju. Po brutalnych szarpaniach i klątwach, nagle drzwi się zamknęły i zapadła cisza. Ocalałe dziewczynki nie śmiały wyjść spod łóżka, w obawie przed ponownym nalotem ze strony Niemców. Po męczącym wyczekiwaniu na powrót mamy, nagle dały się słyszeć miarowe kroki na schodach i przy dźwiękach spazmatycznego płaczu wbiegła oszalała z rozpaczony Lea. Fela i Lusia wyskoczyły jak zające z kryjówki, wprost w jej ramiona. Płacz i śmiech nie miały granic. Obcałowywane przez matkę dziewczynki, zmęczone niezwykle wydarzeniami tego dnia, zapadły w sen.

## **Ucieczka z getta**

Następnego dnia o świcie, dziewczynki wyrwane ze snu i poinformowane dokładnie przez Leę, miały niedługo opuścić mieszkanie. Była to niedziela. Lea nakazała dziewczynkom trzymać się za ręce, idąc przed nią w bezpiecznej odległości. Na wypadek zatrzymania ich przez napotkanych Niemców, miały nie odwracać głów do tyłu, lecz iść dalej. Był to wprost rozkaz ze strony Lei. To zadanie było ponad ich siły, ale nakaz matki nie znosił sprzeciwu. Ryzyko było wielkie, ale niezbyt wielkie, w porównaniu z chęcią życia. W głowach wibrowało słowo – iść, iść, aby dalej i szybciej. Ta ucieczka z getta zaplanowana przez Leę, była bohaterskim uczynkiem w oczach Lusi.

Lea, przemierzając getto, idąc do pracy i z pracy, upatrzyła sobie miejsce, skąd łatwiej było wyjść będąc niezauważonym przez wartownika. Do tego trzeba było mieć również urodę aryjczyka. Niedzielny poranek okazał się ciepłym, wiosennym dniem. Ludzie świątecznie ubrani spieszili do kościoła na poranną mszę. Felusia, trzymając Lusię za rękę, szła dość szybkim krokiem, jakby spiesząc do kościoła, przy tym pociągała w milczeniu swą siostrzyczkę. Lea, idąc z tyłu wiedziała, że cokolwiek stanie się z nią, dzieciom może udać się uciec o to dodawało jej otuchy. Oddalając się coraz bardziej od getta i miasta, dobrnęły do

mglistego odcinka drogi. Mgła wlokła się po obmokłych po deszczu z poprzednich dni łąkach, a czarne, wysokie drzewa tonęły w niej po wierzchołki. W ich wilgotnej głębi śpiewał ptak. W oddali coś zaskrzypiało potrącone wiatrem. Potem skrzypienie i śpiew ptaka ustały. Lusią zaabsorbowała [była] myślami, jak bardzo chciałaby być małą myszką i siedzieć w norce i być niedostrzegalną przez nikogo. Z tych myśli wyrwał ją posłyszany śpiew chóru z pobliskiego kościoła, jak również modlitwa. W Lusi obudziła się chęć przyłączenia [się] do modlitwy. Jakkolwiek nie umiała się modlić, zaczęła szeptać pośpiesznie:

- Kochany Boże, pomóż mnie, mojej mamie i mojej siostrze. Daj nam dużo jedzenia, picia i cukierków. Grające organy umilkły i dał się słyszeć głos księdza: Dominus Vobiscum. Tak idąc coraz dalej i dalej, oddalały się od niebezpieczeństwa.

Zaległa cisza

Po kilkugodzinnej wędrówce Lea zatrzymała się z dziećmi przed ponurym budynkiem o czerwonym dachu. Nieśmiało weszła do przedsionka, gdzie rozkazała dzieciom poczekać aż do jej powrotu. Lea weszła do mieszkania obcych ludzi, aby zbadać ewentualność zatrzymania się na noc. Wyczerpane fizycznie nie były w stanie kontynuować dalszej wędrówki. Po pewnym czasie, wprowadzone przez matkę dzieci znalazły się w ponurym pomieszczeniu, które tchnęło zapachem stęchlizny. Ciemność pomieszczenia i jego bezpieczeństwo sprawiły, że Lusią czuła się jakby była w zaczarowanym zamku. Za stołem w pokoju siedział mężczyzna z brodą i pociągał z kubka jakiś napój. Spojrzenie jego było niezbyt przyjazne. Płacz i prośby Lei o pomoc widocznie odniosły skutek, bo mężczyzna pozwolił im pozostać do następnego poranka. Był on również Żydem, którego na razie nie dosięgła łapa hitlerowców. Mieszkał on wraz z żoną i dwojgiem dzieci w tych zabudowaniach. Spędziły matka Lea z dziećmi siedząc, bo leżeć nie było gdzie. Z trudem, po wielu prośbach, mamie udało się kupić od grabarza trochę prowiantu.

Nazajutrz o świcie opuściły to pomieszczenie z mieszanymi uczuciami – lęku i strachu przed niewiadomym.

## **Droga do Głuska i z Głuska**

Lea i dziewczynki znajdowały się w drodze do Głuska – miejsca zamieszkania babci Chany. Lusią zaczęła popłakiwać ze zmęczenia, jak również z bólu, który poczuła w stopach.

Trzewiki, które nosiła podarły się i stopami dotykała ziemi. Musiały często odpoczywać w przydrożnych rowach albo krzakach, bo Lusia nie ustawała płakać.

Po paru godzinach dotarły do domu babci Chany.

Babcia powitała je płacząc i ściskając po kolei.

Siedząc przy stole, mama opowiadała babci wszystkie przeżycia z getta i o ucieczce. Nagle dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi. Babcia wstała od stołu, aby otworzyć drzwi. W progu stał młody mężczyzna, trzymając czapkę w ręku.

Przedstawiając się wymienił nazwisko ojca dziewczynek, jak również dodał, że został wynajęty za opłatą w celu przywiezienia żony panu Dorfsman z dziećmi. Słyszając to Lea zerwała się krzesła i dopadła do drzwi:

-Co też pan mówi!? - zawołała gorączkowo - przecież mój mąż nie wie o moim pobycie z dziećmi u jego matki.

-Tego ja nie wiem proszę pani – odpowiedział - ja jestem tutaj furmanką, przyjechałem po was.

Lea była zaszokowana nie rozumiejąc tej dziwnej sytuacji, jaka się wytworzyła. Lea dalej ciągnęła:

- Panie, ależ ja pana nie znam!

-Pani droga, ja nazywam się Józef i jestem synem gospodarza, u którego przebywa pani mąż – zareplikował jeszcze dobitniej to, co na początku wydawało się niezbyt zrozumiałe. Musi pani zaufać.

Po tej wymianie zdań Lea zdecydowała, że jedzie z Felusią, Lusię natomiast zostawi u babci do jutra, w nadziei na znalezienie pary bucików dla niej. Lusia zanosiła się od spazmatycznego płaczu:

- Ja chcę jechać z wami do mojego tatusia – krzyczała waląc pięstkami o ścianę.

Po tym rozdzierającym serce rozstaniu Lea opuściła wraz z Felusią mieszkanie, pozostawiając płaczące razem babcię i Felusię. Lea obiecała dziewczynce, że nazajutrz przyjedzie po nią.



Czas z trudem upływał. Zegar ścienny wydzwaniał leniwie godziny. Lusiana nie chciała jeść, jakkolwiek poprzedniego dnia tak bardzo marzyła i czymś smacznym. Księżyc wynurzył się na niebie. Zmęczenie i ociężałość zawładnęły Lusią. Babcia już miała ułożyć ją do snu. Wtem ktoś zapukał do okna. Myśląc, że to sąsiadka z pobliskiego domku, babcia zapytała:

- No, co tam się dzieje? Po czym usłyszała głos tego samego człowieka, który przed kilkoma godzinami wywiózł z Głuska Leę i Felusię. Uchyliła okno:

- To pan? Co się stało?

- Pani droga, proszę nie martwić się. Ja zamiast jutro, przyjechałem dzisiaj po małą.

- Na litość Boską, po co ten pośpiech?

- Ja nie wiem. Robię to, co mi kazano. Niech pai wyprowadzi dziecko, ja tu poczekam za rogiem domu.

Po kilku minutach babcia wyprowadziła Lusianę, płacząc i żegnając się z nią. W głowie cztero i pół letniej dziewczynki roilo się od pytań. Otulona kocami, bo już wiało chłodem, siedziała z tyłu – za furmanem. Józef spytał:

- Jak ci na imię, dziecko?

- Lusiana, nazywam się Lusiana.

- Czy wiesz, że ja cię wiozę do twoich rodziców i siostry?

Lusiana wybuchnęła płaczem i łkając zapytała:

- Dlaczego nikt po mnie nie przyjechał?

Widocznie Józef nie chcąc więcej odpowiadać na jej pytania zamilkł i skupił się na prowadzeniu konia w celu szybszego dotarcia do domu. Wiedział, że to zadanie, które mu powierzono przed kilkoma godzinami, ma pozostać tajemnicą. Rolnicy na wsiach bali się już wówczas przetrzymywać w domach Żydów. Ponieważ za ciepłą strawę i kąpiel do spania każdy z członków rodziny dostawał odzienie na zimę uszyte przez krawca - toteż gra warta była świeczki. Poza tym pobyt Żyda był krótkim, przemijającym epizodem. Klębiące się myśli w główce dziewczynki, ciepło koca, stukot końskich kopyt i ciemność wokoło sprawiły, że ujęta błogością usnęła.

Zaś Józef rzeczywiście już dojeżdżał do zabudowań we wsi, jak również wkrótce znalazł się we własnej zagrodzie.

Cała rodzina Lusi wyszła na jej spotkanie. Obcałowywano ją na przemian i ściskano. Wprowadzona do chałupy, wchłaniała w siebie ciepło i zapach jakiegoś jadła. Spojrzawszy na stół, dostrzegła dzban mleka, chleb i ciasto, zwane na wsi plackiem. Wciśnięto jej do ręki kawał chleba i postawiono kubek mleka przed nią. Reszty dokonał zdrowy apatyt Lusi.

## **Oszalamiająca wiadomość**

W dwa dni po przyjeździe Lusi, czyli dołączeniu się do rodziny, usłyszała ona rozmowę rodziców. Rozmawiali oni na temat, w jaki sposób mama, Felusia i Lusie znalazły się tak szybko na wsi przy boku męża i ojca. Rozmowę rodziców zapoczątkowała wiadomość, która rozniosła się lotem ptaka po wsiach, a dotyczyła ona Żydów z Głuska.

Ktoś doniósł Niemcom o ucieczce wielu Żydów z getta lubelskiego, co w ślad za tym Niemcy postanowili przeprowadzić rewizję w Głusku i wytropić wszystkich uciekinierów. Wszyscy Żydzi mieszkający w Głusku zostali brutalnie wyciągnięci z domów i pogonieni na cmentarz w Głusku i tam ich rozstrzelano. W ślad za tym opowiadaniem Lusie usłyszała dalszy ciąg rozmowy. Czy wiesz Lea, jakie szczęście mieliśmy, że w porę zostałaś ty i dzieci przywiezione. To wszystko zawdzięczam, ciągnął ojciec Lusi, mojemu zmarłemu ojcu, który przyśnił mi się w noc tuż przed waszym przybyciem do Głuska i powiedział wyraźnie, a jego słowa brzmią mi w uszach jak dzwony: „Synu, jutro wieczorem wyślij kogoś do Głuska, bo tam przyjdzie twoja żona z dziećmi i należy je natychmiast wywieźć stamtąd. Nie odwlekaj tego. Jest to sprawa życia i śmierci.”

- Pamiętasz Lea mojego ojca? – zapytał Chaim. Mój ojciec ukazał mi się takim dokładnie, jakim go pamiętam: wysoki, szczupły, o siwych włosach i długiej brodzie – również siwej. I nagle znikł, a ja przebudziłem się ze snu zlany zimnym potem. Po tym wstrząsającym śnie, nie udało mi się już ponownie zasnąć, toteż resztę godzin nocnych spędziłem na planowaniu, w jaki sposób zorganizować wasz ewentualny przyjazd. Rozwiązanie przyszło szybko i bez trudu. A teraz wracając myślą do tego, sen okazał się być prawda – koszmarną prawdą! Ja, który nigdy nie wierzyłem w sny – jestem do głębi wstrząśnięty. Obraz był tak wyraźny, a słowa nie znoszące sprzeciwu, że było nie do pomyślenia nie wykonanie tego, co mi nakazał

mój nieżyjący już ojciec. Nasza Lusia uciekła od niechybnej śmierci, jak również ty – Lea i Felusia. - Dzięki ci ojciec za wszystko! - powiedział Chaim wznosząc oczy do nieba i załkał.

Lusia zrozumiała, że to już koniec tego tragicznego opowiadania, jak również, że ona, mama i Felusia zostały przy życiu, i to że już więcej nie zobaczy babci Chany.

## **Wędrowniki wiejskie**

W czasie jednego długiego roku, o jakże długiego!, przenosiła się rodzina z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zarobku i schronienia. Zadanie bywało bardzo trudne, bo należało w natrętny sposób przekonywać rolnika o słuszności zgody z jego strony na przechowanie krawca u siebie w domu, w zamian za otrzymanie okrycia zimowego. O ile [chłop] wyrażał chęć obszycia całej rodziny, wówczas pobyt krawca się przedłużał. [Ojciec] życzliwie i w dyplomatyczny sposób potrafił rozmawiać z rolnikiem, przekonując go o całkowitej słuszności podjętej przez niego decyzji. Sprawa nie była prosta i utrudniał ją fakt, że ojciec Lusi nie był sam. Po pokonaniu wielu trudności, udawało im się pozostać na okres pewnego czasu w jednym miejscu.

Fakt, że należało iść do innego miejsca oddalonego czasem o kilka dobrych kilometrów, nie ułatwiało sprawy. Wszystkie te wędrowniki odbywały się w nocy, według wszystkich środków ostrożności. Przy tym lęk i strach były tak wielkie, że niejednokrotnie było ciężko pokonać je. Odwiedziny u rolników w wiadomym dla nich celu, odbywały się w zasadzie w tym samym chronologicznym porządku. Na wstępie ojciec Chaim wchodził do chaty wiejskiej w celu pokonania przeszkód. Przed wejściem do chaty zostawiał w pobliżu żonę i dzieci. Po pewnym czasie wychodził po żonę, wprowadzając ją. Następną fazą było udobruchanie rolnika na wprowadzenie jednej z córek.

- Gospodarzu – mówił Chaim – Słyszałem o was dużo dobrych rzeczy, że macie dobre serce, że jesteście dobrym katolikiem wierzącym w Jezusa Chrystusa i dlatego ośmielam się prosić was o przyjęcie również mojej córki.

- No już dobrze – mówił gospodarz – wprowadź pan córkę.

Najtwardszym orzechem była Lusia. Pozostawiona sama przed domem, niejednokrotnie słyszała ujadanie wiejskich psów, co napawało ją śmiertelnym strachem, jak również myśl, że może rolnik nie wyrazi zgody na przyjęcie jej była męcząca wyczerpująca. Wreszcie

ujrzawszy ojca, wychodzącego po nią, ujmującego jej rękę i wprowadzającego ją do chaty, wtedy Lusia zaczynała odczuwać falę ciepła, która zalewała jej małe serduszko i napawała radością. I znów po pewnym czasie, po ukończeniu pracy przez ojca, należało dalej iść w poszukiwaniu innego miejsca. Najbardziej dokuczliwe były noce zimowe. Mróz, który odczuwano w dokuczliwy sposób, grzęźnięcie w śniegu, głód. Wszystko to wywoływało wybuchy płaczu – Lusia rzewnie płakała z zimna i z wyczerpania. Rok 1941 okazał się końcem wędrówek. Wychodzenie w nocy również było już niebezpieczne.

## **Noce w stajni**

Rodzina Lusi dotarła do zagrody rodziny Kowalczyk w Świdniku. W sposób niezrozumiały dla Lusi, cała rodzina wprowadzona została do stajni, gdzie przebywały konie, dla spędzenia jednej nocy. Ale takich nocy, jak się później okazało, było więcej – kilka, a może kilkanaście. Ciepło i odór koni wydawały się cudowne w porównaniu ze strachem odczuwanym w czasie wędrówek nocnych. Lusia polubiła wkrótce ciepło i zapach koni. W myślach porównywała je. Były one obiektem zainteresowania Lusi w czasie wszystkich spędzonych dni w stajni. Często zamieniała się sama w myszkę, to w konia, w zależności od punktu obserwacji w danej chwili. Nieważne było, w co się zamienić, aby żyć, aby nie umrzeć.

Wieczorami przychodził gospodarz, przynosząc coś do zjedzenia rodzinie. Trwało to do momentu, kiedy już nie sposób było ukrywać się w stajni. Po wielu pertraktacjach Chaima z gospodarzem, rodzina przeniosła się na tak zwaną „górkę”, która mieściła się nad stajnią, oborą i chlewem. To miejsce było ich kryjówką w ciągu 2,5 roku. Aż do czasu wyzwolenia spod okupacji niemieckiej.

## **Życie na górze**

Na górze było dużo słomy i siana. Owe pomieszczenie stało się domem Lusi. Górka była długim pomieszczeniem. Posiadała jedno małe okienko i na przyległym końcu miała drzwi, ale widoczne z zewnątrz. Słoma, czyli „dywany”, jak je nazywała Lusie w myślach, dawała dużo ciepła i przytulności, a zarazem uczucia bezpieczeństwa. Pośrodku górki, pod jedną ze ścian, zostało usłane przez Leę „łóże rodzinne”. Kołdry, poduszki i prześcieradła zostały powymywane z tobołka wędrującego razem z nimi.

Rodzice Lusi wprowadzili rygor, nie podlegający dyskusji.

Zakazane było kłośne kasłanie, rozmowy, kichanie, śmiech, które mogłyby dobiegać do niepożądanych uszu ludzkich.

Jedynie szeptać wolno było.

Lusia szybko przyswoiła sobie te zasady.

Już następnego ranka, słońce oznajmiło nadchodzący dzień. Ale nie był on wcale ciepłym dniem. Owego dnia służąca Frania, bo tak nazywała się kobieta, która mieszkała i pracowała u rodziny Kowalczyk, stuknęła w klapkę mieszczącą się w podłodze nad chlewem. Przyniosła ona garnek i kartofle w celu obrania ich, a później po obraniu miała je zabrać, aby ugotować posiłek.

Garnek nazywano na wsi „saganem”. Obieranie kartofli należało przez okres całego pobytu na górcie, do zajęć Lei. Po przyniesieniu ugotowanych kartofli i daniu żurku przez Franię, ojciec schodził po drabinie, aby je ugnieść później. To z kolei należało do jego obowiązków przez okres całego pobytu na górcie. Co prawda niewiele było tych zajęć, ale były one podzielone. Otóż te kartofle ugotowane w wodzie, bez dodatku soli czy tłuszczu, nie posiadały co prawda smaku w normalnych warunkach, ale w przypadku Lusi rodziny były one wyborne.

W ciągu tego długiego pobytu na górcie, dzień po dniu, niezmiennie, Lusia wyczekiwała z łyżką w ręku, aby pierwsza zanurzyć ją w garnku.

Gospodarz odwiedzał od czasu do czasu rodzinę na górcie, aby pogawędzić z Chaimem na tematy polityczne, czy też inne. W jednym z takich odwiedzin usłyszał, że Lea zwraca się do Lusi, wołając ją po imieniu. Zwróciwszy Leę do całej rodziny powiedział, że Lusia nie jest imieniem dla dziewczynki i bardzo prosi, alby wszyscy nazywali ją Marysią, co jest czysto polskim imieniem. Przy tej okazji zaproponował rodzicom, alby wyrazili zgodę na oddanie Marysi na wychowanie do rodziny polskiej. Chaim odpowiedział na to:

- Muszę się zastanowić, jak również córka musi wyrazić zgodę.

Zmiana imienia wcale nie odbiła się źle na Lusi, a obecnie i dalej – już Marysi. Imponowało jej, że znajduje się w centrum zainteresowania, ale odnośnie propozycji w sprawie Marysi, oczywiście ona sama odepchnęła [ją], jak również rodzice nie wyrazili zgody.

## **Rodzina Kowalczyków i nieudana transakcja Feli z Aliną**

Kowalczyka żona nazywała się Franeczka i tak też ją Jan zwał. Natomiast służącą o tym samym imieniu nazywano dla odróżnienia Franią.

Franeczka i Jan mieli dwie córki. Alina była starszą, pierworodną ich córką, zaś młodsza – Irena – była w wieku Marysi. O pobycie żydowskiej rodziny na górcie byli wtajemniczeni: Jan, Franeczka, Frania i Alina. Frania była bardzo serdecznie ustosunkowana do Lei, dziewczynki, a także Chaima.

Pewnego dnia Alina zasyczała przez zęby, co było umówionym znakiem między nią, a Felą. Alina często lubiła przychodzić pod górkę z kromką chleba czy też kawałkiem ciasta, aby wzbudzić zazdrość w dziewczynkach i drażnić je. Już dawno było umówione między nimi, że za przyniesienie kromki chleba przez Alinę, Fela da jej w zamian podwiązki do pończoch. I tegoż właśnie dnia, Alina trzymała kromkę chleba jak zwykle patrząc w górę i poprosiła o podwiązki, nie chcąc dać obiecanej kromki chleba, przy tym strasząc, że o ile nie dostanie podwiązek, to nas wyrzucą z górki. Biedna Felunia wystraszona dała Alinie podwiązki nie otrzymując za to chleba. Tego dnia zawiedziona Fela długo płakała. Chleb wypiekało się w domach. Co 3-4 tygodnie, każda z gospodyń wypiekała u siebie chleb i pożyczła innym, a później oddawano sobie. Pieczenie chleba na wsi było jak gdyby rytuałem, zajmowało to wiele czasu. A później przechowywano go w spiżarkach domowych, zwanych komorami.

Waga chleba wynosiła na ogół około 3-4 kilogramów. Jeden raz w miesiącu rodzina Lusi dostawała jeden taki bochenek chleba. Dzielenie dziennych porcji chleba należało również do obowiązków Chaima i wymagało wielkiego kunsztu, aby móc uporać się z tym. Kromka chleba wyglądała jak cienki, pergaminowy kawałek papieru. Każdy z członków rodziny dostawał taką porcję jeden raz dziennie.

## **Frانيا i krowie mleko**

Pewnego dnia Chaim zrobił z puszki konserwowej, dostarczonej przez Franię, naczynie na mleko, które spuszczał w czasie dojenia krów przez Franię. Do naczynia przymocowany był kij, za pomocą którego łatwo było wciągnąć mleko, które dziewczynki wypijały łąpczywie. Ale nie codziennie udawał się taki manewr, bo było to bardzo ryzykowne. Nikt z rodziny Kowalczyków nie mógł się dowiedzieć o tym. Toteż Frania z Chaimem zachowywali

najgłębsze środki bezpieczeństwa. Pomimo owych środków bezpieczeństwa, zostali wkrótce przyłapani przez właścicielkę, która niespodziewanie i po cichu pojawiła się w drzwiach obory. Skutek był taki, że ze złości pół wiadra mleka, jak również naczynie, zostały wylane i wyrzucone. Klątwom i urąganiem nie było końca. Mleka już więcej nie było i smutek zapanował w serduszkach Marysi. Gdyby modlitwy odnosiły natychmiastowy skutek, to pewnie całe niebo mleka spłynęłoby wprost na górę, w ramiona zawiedzionej Marysi. Modląc się żarliwie po szoku, jakiego doznała – Marysia usnęła.

## Wiosna

Ptaki ćwierkały już od świtu, zapowiadając swą obecność. Śpiew skowronków, czyżyków, kukulek, tworzył cudowny chór, którego piękny nie sposób było się oprzeć. Marysia wsłuchana w czarodziejski śpiew, wędrowała po krainie nieznannej, ale pięknej i malowniczej. W krainie tej krzątały się krasnoludki uśmiechające się do niej, wyciągały małe rączki, aby dotknąć ręki Marysi, ale nadaremnie. Odległość była zbyt wielka. Wszystko rozprysło się jak bańka mydlana. Wyrwana z tego pięknego snu usłyszała głos Franeczki, przypominający spadanie pałek esesmanów w getcie, a także bolesnych, na ciała biednych i bezbronnych ludzi. Franeczka wrzeszczała w niepohamowanym gniewie:

- Ty parszywy Żydzie, zabieraj się stąd, wynoś się z całą swoją rodziną, bo już mam was dość!

Chaim wysłuchał w milczeniu tego upokarzającego urągania i odparł atak ze stoickim spokojem:

- Pani Kowalczyk – proszę – niech pani się uspokoi – mówił – ja i moja żona jesteśmy gotowi wyjść z kryjówki i nie zdradzimy miejsca naszego pobytu, ale proszę pomyśleć o dzieciach. Po kilku uderzeniach opowiedzą wszystko... Wówczas cała nasza rodzina, jak również wasza – wszyscy zgnieciemy w torturach z rąk hitlerowców. Proszę się zastanowić – ciągnął – pani ostrzy nóż na własne gardło. Franciszka, wysłuchując tego, co miał do powiedzenia Chaim, opuściła chlew ze spuszczoną głową, bąkając coś niezrozumiałego pod nosem.

## Lato

Po wiosnie nastąpiło lato, a w ślad za tym – wszystko zaczęło rozkwitać. Owoce na drzewach, jarzyny w ogrodzie, marchew, rzodkiewki, szczypiorek, zielona sałata – ależ delikcji!!! Chaim schodził w środku nocy, aby narwać trochę jarzyn dla dzieci. Rano, po przebudzeniu się, dziewczynki znajdowały koło siebie wymieszane jarzyny. Chrapiąc wszystko po kolei i z wielkim apetytem, starały się przeciągnąć tę chwilę upojenia i radości poprzez powolne jedzenie. Marysia czyniła to samo z chlebem, który dostawała.

Niewielką kromkę chleba cieniutką trzymała w rękach godzinami stając ją i delektując [się nią] w niewymowny sposób. Marysia śniła zawsze o lecie, bo jadłospis bywał o wiele bogatszy. W lecie gospodarz Jan czy Frania, po skoszeniu trawy, czy po żniwach, przynosili na górkę siano, trawę. W ten sposób można było również na górcie czuć zapach lata, jak również ilość słomy podkładanej pod prześcieradło dawała, czy też robiła miększe postanie.

Wieczorami Marysia wsłuchana była w odgłosy jakie wydawały żaby. Czasami dało się słyszeć z oddali ujadanie psów.

I w ogóle lato było najprzyjemniejszą i najlepszą porą roku.

Ale wszystko, co piękne, kończy się szybciej.

Babie lato zaczęło się ukazywać, co było oznaką kończącego się lata.

## Złota polska jesień i choroba Feli

Wiatry, deszcze, spadające liście z drzew zaczęły wirować w powietrzu, jak gdyby w zaczarowanym tańcu. Marysia, oddalona trochę od małego okna aby nikt nie mógł jej dojrzeć, patrzyła na pola, na stare drzewa, na wszystko co było w zasięgu jej wzroku. Chłód jesiennych dni wchodził w kości. Od dłuższego już czasu Fela zaczęła narzekać, że boli ją tu i tu. Nikt nic nie rozumiał. Była bardzo wymizerowana na skutek głodu i braku witamin i na pewno też z braku świeżego powietrza.

Zauważono u niej symptomy w postaci powiększonych węzłów szyjnych. W ślad za tym otwierały się rany, z których wyciekała ropa. Rany zaatakowały lewy obojczyk, klatkę piersiową, jak również lewą nogę, zewnętrzną część stopy.

Ropa nie ustawała ciec.



Zapalny stan był nie leczony, toteż wkrótce stan Feli się pogorszył. Lea rozdarła jedno z lnianych prześcieradeł, aby zrobić z niego opatrunki. Szmaty przylepiały się mocno do ciała i Lea z trudem je zrywała. Każda zmiana opatrunku była torturą dla Feli i pozostałych członków rodziny, przyglądających się temu w poczuciu winy, że nie mogli temu zapobiec, czy też pomóc. Z czasem powstały dziury po nieustannym zdzieraniu opatrunków. Szmaciane opatrunki były prane w zimnej wodzie i suszone pod poduszkami.

Biedna Fela płakała rzewnymi łzami, nie obwiniając nikogo, wiedząc że czasy są ciężkie, że życie wszystkich wisi na włosku. Nie było do kogo zwrócić się o pomoc. Wciąż cierpiała po cichu, codziennie wylewając dużo łez. Zaropiałe i zakrwawione opatrunki wyrzucał ojciec w nocy, razem z wiadrem, które opróżniał w każdą noc z czynności fizjologicznych. Jeszcze jedną torturą było umyć się w lodowatej wodzie. Rany Feli były skutkiem gruźlicy węzłów chłonnych, o czym nie wiedziano wówczas.

## **Niebezpieczna bliskość Niemców**

W niewielkiej odległości od zabudowań Kowalczyka mieściły się baraki wybudowane przez Niemców. Służyły one do przechowywania różnego sprzętu.

Z zasłyszanych opowiadań wiadomo było również, że znajdują się tam kuchnie do gotowania. To nie dawało spokoju rolnikom. Zaczęli oni kraść, co pociągało za sobą sankcje ze strony Niemców. Zaczęli oni przeprowadzać rewizje w domach położonych najbliżej od baraków. Nie ominęło to również domu Kowalczyka. O rewizji doniosła znów Franja.

Wówczas wszyscy zaczęli przygotowywać się do nieuchronnej śmierci. Marysi ubierała się w popłochu. Zwykle musiała chodzić w jakiejś podkoszulce z rękawami, ale tym razem nakładała na siebie wszystko, co podchodziło jej pod rękę. Nie chciała ona bowiem, by ktoś zobaczył ją na wpół nągą. Już ubrana, stała posłusznie w ostatnim rzędzie, za Felą i gorączkowo rozmyślała wznosząc przy tym prośby do Boga o zesłanie pomocy.

Niemcy krzyczeli obiegając cały dom wokół. Nie było żadnych wątpliwości co do odkrycia kryjówki. Szaleli z wściekłości. Szukali na podwórku, w stajni, w oborze, chlewie i w domu Kowalczyków. Cała rodzina na górcę, począwszy od ojca, a skończywszy na Marysi, zamarli w śmiertelnym strachu. Nawet z trudem oddychali. Czas dłużył się w nieskończoność. I nagle wszystko ucichło. Niemcy poszli.

- Boże, zlitowałeś się nad nami! Dziękuję Ci! – paplała pośpiesznie Marysia – że zostawiłeś nas przy życiu! Ja chcę żyć! Boże – czy słyszysz? Nie chcę umierać! Ów krytyczny dzień był jednym z dni niepohamowanego szczęścia w sercu małej dziewczynki

## **Marzenia i głódówka mamy**

Dni bywały już krótsze. Wieczory bez elektryczności nie pozostawiały wyboru. Można było w ciemności marzyć, albo spać. Marysia podchodziła do okna, by popatrzeć na nieb usiane gwiazdami i z powrotem wracała pod kołdrę.

Zaabsorbowana była wieloma myślami, które piętrzyły się w jej głowie, nie dając spokoju. Odczuwała nieodpartą chęć czytania i pisania. Wówczas zaczynała wodzić palcem po kołdrze, zakreślając coraz szybciej kręgi, jakby w ten sposób pisała szybko i z wielką wprawą. Chęć poznania pisowni była nieprzeparta. I nic dziwnego, bo dzieci w jej wieku już pisały i czytały. Miała wtedy osiem lat. Marysia w dalszych rozmyślaniach prosiła Boga, aby pozwolił jej przetrwać okupację niemiecką, by móc kiedyś, jak urośnie, wyjść za mąż i wydać potomstwo na świat, a wówczas niech się stanie, co chce. W czasie tych czarnych dni dwie siostry opowiadały sobie coś szeptem, co również wypełniało godziny dnia. Jak rodzice często sypiali w czasie dnia. Czasem wydawało się, że mama ujmowała rękę Feli i przykładając ją do swego brzucha, mówiła:

- Felusia, czy czujesz?

Marysia, pytając siostrę, co oznaczały te pytania, ze stanu mamy dostawała odpowiedź:

- Ona się boi jakiejś choroby, którą nosi w sobie.

Mama popłakiwała często.

Głód dochodził do szczytu.

Lea nie mogła dłużej patrzeć na wegetację własnych dzieci, toteż raz na zawsze postanowiła skończyć z tym koszmarem. Zaczęła głódówkę. Nawet tych marnych kęsów nie chciała brać do ust. Żadne przekonywania ze strony Chaima i dzieci nie odnosiły skutku. Głódówka trwała już kilka dni. Lea była już wrakiem człowieka. Oczy bez blasku, usta białe i suche powtarzały: „aby szybciej umrzeć”. Ponawianie próśb i płacz dziewczynek nie pomagały. Była ona nieugięta w swoim postanowieniu. Jak zmusić mamę do jedzenia?

- myślała Marysia. Zaprzątnięta myślami usłyszała wybuch płaczu. Ojciec płakał, co wywarło widoczne wrażenie na mamie, bo powiedziała:

- Już dobrze! Skończę z tym, zacznę jeść.

Wszyscy odetchnęli głęboko po tym wydarzeniu, w poczuciu spełnionego zadania przepychali się dalej przez życie, nie mając pojęcia ile jeszcze gorzkich wydarzeń ich oczekuje.

## **Szalwark, dobry uczynek i jego następstwa**

Napadało dużo śniegu. Było niemal tradycją, że w zimowe niedzielne dni, szło się na tak zwanych szalwark, czyli oczyszczanie śniegu z dróg. Franciszka zwykle smażyła w takim dniu pączki albo faworki i dawała mężowi na drogę. Jan, nie zauważony przez nikogo z domowników, wkradł się do chlewu. Dawał znak na otworzenie klapy i wówczas wypychał Chaimowi kilka pączków, mówiąc przy tym:

- Daj pan dzieciom!

I pospiesznie ulatniał się.

Dzieci podały mamie pączki, ale ta odmówiła.

Kowalczyk był człowiekiem o dobrym sercu, szlachetny, delikatny w obejściu, mówiący zawsze po cichu. Twarz miał pogodną, nieco zaczerwienioną, niebieskie oczy i siwe włosy. Marysia darzyła go wielką sympatią. Smak zjedzonego pączka był tak silny, że po zjedzeniu marzyła, w ciągu następnych również dni, o górze pączków, połykając jeden po drugim.

Pewnego dnia Frania zawiadomiła rodzinę, że nazajutrz gospodyni jedzie do miasta po zakupy. Miało to oznaczać, że kilka godzin nieobecności Franciszki dadzą większą swobodę ruchom Frani. I rzeczywiście – Franciszka wyjechała nazajutrz w godzinach porannych. Natychmiast Frania zakrzętała się w kuchni, w celu przyrządzenia świątecznego posiłku dla rodziny z górki.

Ależ to była fantastyczna okazja do uczynienia dobrego uczynku. Frania była wierzącą i praktykującą katoliczką. Wierzyła ona w głębi duszy, że każdy dobry uczynek z jej strony, przybliży ją do wrót raju. Niezależnie od wiary, Franię cechowała dobroć serca, czego nie sposób było nie dostrzegać. Frania była starą panną, rodziny prawie nie posiadała.

Kowalczykowie przyjęli ją do pracy w gospodarstwie. Wykorzystywała ona różnego rodzaju prace. Doiła krowy, karmiła bydło. Wszystkie prace w zagrodzie należały do obowiązków Frani. Franciszka natomiast królowała w domu, nie wyłączając przygotowywania posiłków.

Otóż tego dnia, Frania postanowiła do codziennej zupy dodać zacierki i doprawić ją tłuszczem dla podniesienia smaku, co miało też podkreślić świąteczność owego wydarzenia. Zacierki robiono z mąki z domieszką wody. Był to kawał ciasta, skubany i wrzucany do garnka. W ten sposób wychodziły kluski. Pomysł Frani zasługiwał na pochwałę. Zafascynowana gotowaniem nie usłyszała otwarcia drzwi i zbliżających się kroków. Tuż za plecami Frani stanęła Franciszka, która z niewiadomych przyczyn wróciła bardzo szybko. Podnosząc pokrywkę garnka, zapytała ją:

- A to co za uczta?

Niewiele myśląc i nie czekając na odpowiedź Frani, uniosła garnek w obie ręce i pogoniła do chlewu i wylała zupę świniom przy akordzie klątw:

- Parszywe Żydy – pozdychajcie już!

Fela, ujrawszy tę scenę po wyjściu Franeczki, zbiegła utykając po drabinie i ująwszy rękami kartofle, kluski i wszystko, co mogła, zaczęła wrzucać do naczynia, które sobie przygotowała podczas klątw Franeczki.

Jedzenie zmieszane z otrębami czy sieczką miało nieciekawy wygląd. Feli nie odpychał wygląd jedzenia i najadła się tym do oporu. PO skonsumowaniu pewnej części z wymiotowała wszystko. Tego dnia, jak również następnego, była bardzo chora i nieszczęśliwa. Frania natomiast, po tym wydarzeniu, prawie że została wydalona z pracy. Po usilnych prośbach Jana, udobruchana Franciszka zostawiła Franię, ale ostrzegła ją, że jeśli jeszcze raz przyłapie ją na czymś podobnym, zostanie pozbawiona pracy. Frania była niepokieszona.

## **Czarna noc i jej następstwa**

I znów wiosna nadchodziła wielkimi krokami. Wszystko w przyrodzie budziło się do życia. Kwiaty rozkwitały, ptaki śpiewały wesoło. Wesołość udzielała się wszystkim członkom rodziny, myślącym zapewne o lepszym jutrze.

Dzień upływał za dniem

Dziewczynki, leżąc pod kołdrą, szeptały między sobą. Coś planowały po cichu. Aż pewnego dnia wyznały swój plan rodzicom – bardzo tym zdziwionych i zaniepokojonych. Fela i Marysia postanowiły jednego z wieczorów wybrać się na wieś w poszukiwaniu chleba, bo głód już dochodził do szczytu.

Po wielu oporach ze strony rodziców, dziewczynkom udało się ubłagać ich i tego pamiętnego wieczoru udały się na wieś. Wieś była duża, ciągnęła się kilometrami. Marysia, prowadzona przez siostrę, niezbyt zdawała sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa, które czyhało na nie. Idąc ścieżkami, nagle poczuły krople deszczu, które wnet zamieniły się w potok. Przemoczone do suchej nitki, grzęzły w błocie, nie mając wyboru. Postanowiły za wszelką cenę zdobyć chleb i najeść się do szczytu. Ciemności nocy były jak gdyby wybawieniem dla nich, bo dawały poczucie bezpieczeństwa. Ich kroki stawały się coraz powolniejsze, z trudem już szły. Nagle usłyszały rozmowy i wesoły śmiech. Głosy były męskie. Właśnie dziewczynki zbliżały się w stronę tego gwaru, gdy nagle usłyszały pytający głos:

- Kto tam?

Po ujrzeniu dwóch dziewczynek, głos zapytał ponownie:

- Kim jesteście i dokąd idziecie?

Fela nieśmiało wymieniła jakieś nazwisko. Młodzieniec dalej dopytywał. Wreszcie Fela wypowiedziała głośno:

- Nazywam się Nieznajewska, a ta – wskazując na Marysię – jest moją siostrą.

- Nie opowiadaj głupstw – powiedział. Obok stojący koledzy prawie nie brali udziału w tym wszystkim. Młodzieniec zwrócił się do kolegów, mówiąc:

- Te dziewczynki są pewnie żydowskimi dziećmi. Chodźmy – zaprowadźmy je na posterunek do Niemców!

I wówczas jeden z milczących kolegów wtrącił się, mówiąc:

- Zostaw je w spokoju!

Podchodząc do dziewczynek, pociągnął je mocno i zaczął pośpiesznie iść z nimi. Po drodze dopytywał dokąd zamierzają iść. Fela podała nazwisko rolnika, którego zamierzała odwiedzić, w celu zdobycia chleba. Tych ludzi zapamiętała dobrze jeszcze z czasów, kiedy

ojciec mógł pracować, nie będąc kontrolowanym przez nikogo. Młodzieniec zaprowadzić je pod wskazany adres i zostawił pod domem. Fela resztkami sił weszła do chaty wiejskiej i po przekroczeniu progu zemdląła.

W izbie było ciemnawo z powodu słabego oświetlenia. Marysia dostrzegła kobietę, pochylającą się nad Felą. Posadziła ją na stołku i obok również Marysię. Przyniosła wodę i skropiła nią twarz Feli. Widząc, że wraca do siebie, zaczęła dopytywać kim jest. W odpowiedzi usłyszała:

- Jestem głodna.

Gospodyni domu zakrzętnęła się szybko. Ustawiła dwa kubki mleka na stole i ukroiła dwie ogromne kromki chleba. Dziewczynki łapczywie zaczęły jeść chleb popijając mlekiem. I znowu gospodyni ponowiła swoje pytanie, zwracając się wciąż do Feli, bo widziała w niej bardziej dorosłą dziewczynkę. Zapytała, czy są one córkami krawca, tego Żyda, który ich obszywał owego czasu. Fela w odpowiedzi potrząsnęła [pokiwała] głową. Kobieta w pośpiechu i strachu zaczęła szybko mówić:

- Zjedzcie i uciekajcie prędko! U czyha na was niebezpieczeństwo. Wkrótce ma wrócić mój mąż i jak was zastanie tutaj, to już nigdy nie zobaczycie waszych rodziców. Mój mąż współpracuje z Niemcami – zaczęła bełkotać w pośpiechu. On pewnie już jest w drodze do domu. Wasze życie wisi na nitce. Weźcie bochenek chleba i znikajcie.

Dziewczynki posilone chlebem i mlekiem. W przestraszeniu wstały, łapiąc chleb i opuściły zagrodę. Powrotna droga okazała się wcale nie lepsza. Deszcz zaczął znowu padać. Chleb przechodził z rąk Marysi do rąk Feli co jakiś czas, aż wkrótce Fela oświadczyła głosem nieznoszącym sprzeciwu, że jeżeli Marysia nie weźmie tego chleba i nie doniesie go aż do końca, to ona wrzuci chleb do błota, bo już nie może więcej borykać się z bochenkiem. Marysia przestraszona ujęła od niej chleb i niosąc również z trudem, powlokła się za siostrą. Dużo razy musiały odpoczywać, bo sił ubywało. Noc była zimna i bardzo ciemna. Nie były one już pewne czy dojrą do górki, do rodziców, oczekujących je tam z niecierpliwością i śmiertelnym strachem o ich bezpieczeństwo. Szły więc powoli płacząc i modląc się każda na swój sposób. Fela jęczała z powodu bólu, z powodu ran, które nie goiły się, lecz wręcz przeciwnie stawały się coraz głębsze i bardziej bolesne. Marysia miała dość dźwigania. Chleb robił się coraz cięższy, bo bardzo mokry.

Po kilkugodzinnym wysiłku dobrnęły do miejsca ich kryjówki – do rodziców. W niedługi czas po powrocie, koguty zaczęły pisać. Fela rzuciła się na posłanie łkając, Marysia – ponura, milcząca i wystraszona, położyła się. Nad głowami dziewczynek pochylały się głowy rodziców. Z ich oczu wyzierał strach i smutek, ale jednocześnie można było dostrzec radość z powrotu dzieci.

## **Szarość życia**

Po nocnej eskapadzie, Fela i Marysia nie były w stanie przez długi okres czasu otrząsnąć się. Tak bardzo pragnęły zapomnieć, ale obrazy wracały z uporczywością i dokładnością, aż do bólu. Martwota wyzierająca z oczu wszystkich była odbiciem panującej sytuacji. Dzień po nocy, noc po dniu, miesiąc za miesiącem leciały z trudem, albo wlokły się do obłędu. Znowu garnek kartofli i jeszcze jeden bochenek chleba i siedzenie po cichu.

Nadzieja na polepszenie sytuacji równała się zeru.

- Ja chcę bawić się z koleżankami, chcę pójść do szkoły, nie chcę siedzieć więcej po ciemku – mówiła Marysia zdławionym głosem do matki – Mamo, ja chcę śmiać się i płakać tak głośno, aż do pęknięcia ścian – czy słyszysz mnie? Mam już dość wszystkiego! – łkała wieczorami. Nagle usłyszała spokojny głos ojca, który syczał przez zęby. Otwierając z ledwością ciężkie powieki, spojrzała w stronę ojca. Jego spojrzenie przeszywało ją od głowy do stóp i przywoływało do porządku. Z kolei przeniosła wzrok na matkę, która patrzyła na nią oczami pełnymi bólu. Twarz miała szarą, a broda trzęsła jej się od hamowanego płaczu. To dokonało reszty. Marysia przestała płakać. Cóż więc pozostawało? Jedyne czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Chęć życia była przecież przeogromna i nie dawała porównać się z niczym. Trzeba było nadal oczekiwać na upragniony koniec wojny, na upragnioną stabilność życia, czekać na wolność.

Wolność ponad wszystko!!!

- Boże, błagam, pomóż moim rodzicom, pomóż moje siostrze, pomóż mnie, tak Cię proszę – nieprzytomnie wprost paplała Marysia - przyrzekam być dobra, nie sprawiać kłopotu rodzicom. Kocham Cię Boże!

## Księżyc w zmowie z Panem Bogiem

Marysia błąkała się po górce cały dzień. Była bardzo niespokojna. Patrzyła wciąż w stronę matki, która leżała spokojnie. Niewiele mówiła, czasem tylko popatrzyła w jej stronę, jak gdyby pytając: a cóż to za manewry? Po co to chodzenie w tę i z powrotem? Ale nie powiedziała nic. Fela siedziała koło mamy głaskając ją i coś mówiąc po cichu. Ojciec również kładł się koło mamy i do czasu do czasu coś jej szeptał na ucho. Zachowanie wszystkich było bardzo zagadkowe i bardzo denerwowało Marysię. W tym dniu kartofle obierał ojciec, bo mama nie wstała z posłania. I w tym dniu Marysia czekała na jedzenie, trzymając niecierpliwie łyżkę w pogotowi, aby móc pierwsza zanurzyć ją w garnku. Ojciec zjadł niewiele, a mama nie ruszyła w ogóle jedzenia. Wyraźnie odmawiała. Dzień i godziny wlokły się powoli, jak gdyby wskazówki zegara stanęły na znak buntu. Zmęczenie padło na Marysię – znudzona patrzeniem na szepczących wciąż rodziców i siostrę, postanowiła położyć się spać. Położyła się według stałej kolejności – koło siostry – czyli z brzegu. Fela leżała koło mamy, a po drugiej stronie mamy miejsce zajmował ojciec. Zapadła w sen. Znow śniła o getcie. Ludzie szli parami, po cichu, na wprost siedzącego esesmana, który świdrującymi oczami badał obecność wszystkich. Na nosie miał osadzone okulary, w których Marysia dostrzegła siebie, topiącą się w błocie. Czyniła wielkie wysiłki, aby wydostać się na powierzchnię. Wyciągnęła rękę, wołając o pomoc rozdzierającym głosem. I nagle – pałka esesmana spadająca z wielkim świstem, położyła kres wszystkiemu – obraz znikł. Obudzona z koszmaru, otworzyła oczy z trudem i z powrotem je zamknęła. Ale coś jasnego wciskało się w oczy, więc znowu je rozwarła i patrzyła nie wierząc. Było dość jasno, do czego nie była przyzwyczajona. Światło wpadało w okno. Wystraszyła się bardzo. Myślała o Niemcach, o ponownej rewizji i zamarła ze strachu. Ależ nie! To księżyc zaglądał na górkę. Nie ma Niemców, nie ma krzyków, nawoływań. Nikogo nie ma przy niej – gdzie się wszyscy podziali? Zaczęła rozglądać się po górce. Dojrzała rodziców i siostrę, którzy leżeli blisko okna. Skoczyła z posłania, dobiegła do rodziny, ale została dość mocno odepchnięta przez siostrę. Nic nie rozumiejąc, wróciła i usiadła. Już się nie kładła. Coś tajemniczego wisiało w powietrzu. Nagle usłyszała ciche pojękiwania mamy. Ona cierpiała. Co ją boli? – myślała gorączkowo Marysia i ponownie wstała, aby zbliżyć się do matki. Zobaczyła ojca pochylającego się nad mamą i poprosiła:

- Tatusiu, ja chcę siedzieć razem z wami tutaj!

Ale w stanowczy sposób ojciec „warknął”:



- Nie!!!

Po jakimś czasie wszyscy przesunęli się za idącym księżycem. Księżyc wędrował, a oni razem z nim. Pojękiwanie mamy nasiliło się. Płacząc Marysia wtuliła głowę w poduszkę, nakrywając się aż do braku oddechu, aby nie słyszeć cierpiącej mamy. Leżała tak, nie wiedząc ile czasu, jakby w otepieniu.

Nagle z oddali dał się słyszeć głos ojca, który zwracał się do Feli:

- Przynieś nożyce!

Wstrząśnięta tym, co usłyszała, zdarła z siebie kołdrę i poduszkę. W powietrzu dojrzała duże nożyce, których ojciec używał do pracy. Boże kochany – pomyślała – po co te nożyce? Czyżby tatuś chciał nas powyrzynać i zakończyć tę naszą męczarnię?

- Nie!!! Ja nie chcę umierać!!! – krzyczała.

- Milcz!!! – zasyczał ojciec.

Marysia sparaliżowana strachem zamilkła i wstrząsana spazmem, nie ruszała się z miejsca. I znów śni. Ależ nie – Marysia nie śniła. Usłyszała płacz dziecka i wraz z tym – głos ojca:

-Felu, zatkaj dziecku usta i nos.

- Tatusiu, zawołała [Fela] w ekstazie – zobacz jakie duże, ładne oczy ma!

- Zrób, co ci każę, rozkazał tonem, nie znoszącym sprzeciwu.

Niedługo po tym Fela znów się odezwała:

- Tatusiu, mały nie płacze, na co ojciec odpowiedział:

- Tak ma być moje dziecko.

Ojciec – nadal pochylony nad matką, nadal coś manipulował nożycami. Nagle wszystko ucichło. Ruchami lunatyka zawinął dziecko w coś białego i ułożył koło matki, która patrzyła na nie niewidzącymi oczami, bo łzy je zalewały. Po niedługim czasie ujął kłábek [tobołek?] i zaczął powoli schodzić po drabinie. Minęło dużo czasu do powrotu ojca. Wrócił bez kłábka [tobołka?], z opuszczoną głową. Udręka i ból wisiały w powietrzu. Nikt nie śmiał wymówić słowa. Fela wciśnięta w kąt szlochała, a mama leżała tak, jakby życie z niej uciekło. Później ojciec ujął wiadro i znów zaczął schodzić po drabinie. W oddali koguty piałły. Zaczęło świtać.

Po opróżnieniu wiadra, zaczął zacierać ślady krwi, które ściekały na ściany chlewu. Pracował prędko i nerwowo. Słońce wyjrzało, a razem z nim nadszedł nowy dzień.

## **Komplikacje i policzone dni do końca wojny**

Następnego dnia po nocnym zajściu, Lea nie wstała w ogóle. Oczy jej błyszczały, prawie nie mówiła. Frania weszła do obory, aby wydoić krowy i wówczas Chaim zwrócił się do niej, prosząc, aby zawiadomiła gospodarza, że on prosi o rozmowę z nim. Gospodarz wkrótce się pojawił i wówczas Chaim, uchylając klapę, powiedział:

- Panie Kowalczyk, moja żona jest bardzo chora. W nocy miała atak wątroby i pewnie ma wysoką gorączkę. Czy może pan przysłać dzbanek herbaty?

- Ależ naturalnie – odpowiedział – Frania zaraz przyniesie i będzie przynosiła ile trzeba.

Po kilku dniach herbata pomogła, bo Lea poczuła się lepiej. I znów dni upływały jeden za drugim. Marysia chciała wymazać z pamięci ową noc, ale przychodziło jej to z trudem. Obraz wracał niezależnie od jej woli. Na siłę zaczęła myśleć o zieleni za oknem, o krowach, koniach, kurach, które gdakały często w czasie dnia. [Myślała] o szczekaniu psów. Jak dobrze im jest, bo mają wolność chodzenia i szczekania. Pewnego dnia gospodarz wszedł na górkę, trzymając w rękach gazety z ostatnimi wiadomościami.

Chaim zaczął czytać i tłumaczyć znaczenie tego, co było napisane. W końcu obaj doszli do wniosku, że wojna pewnie zbliża się ku końcowi. Marysia, słysząc, że wojna ma się prawdopodobnie wkrótce skończyć, zaczęła szaleć z radości, ale wewnątrz. Uśmiechała się do siebie, ale nie dała po sobie poznać, bo by zaraz ją skarcono za wydawanie jakichkolwiek dźwięków radości.

Nie wolno było cieszyć się na głos.

Marysia zaczęła przesiadywać blisko okna, jak gdyby zbawienie miało przyjść od tej strony. Robiła to z wielką ostrożnością, ostrzegana przez rodziców.

Kwiaty rozkwitły, kukułki kukały, wykukując muzykę. Były to piękne tony, które napawały radością. Wielokrotnie była to rekompensata za wszystkie przecierpiane dni i noce. Ileż słodczy i czaru było w tym. Marysia błąkała się w innym świecie. Podzieliła wszystko w wiadomy sobie sposób. To co było w jej pojęciu dobre, należało do drugiego świata, a złe rzeczy, czy też wydarzenia takie jak wojna, należały do złego świata.

Owa segregacja pomagała Marysi w jaśniejszy sposób przeżywać wszystko. Ponieważ nie było żadnych wyjaśnień ze strony rodziców, albo ze strony starszej siostry, zatem borykała się sama, segregując każde wydarzenie. Marzyła o zjedzeniu całego bochenka chleba za jednym razem. Najść się do syta. Gdyby jeszcze do tego wypić dzban mleka, wówczas wszystko byłoby wspaniałe i to Marysia zaliczyłaby do dobrego świata.

Pewnego wiosennego popołudnia górką wstrząsnęło coś.

To coś okazało się bronią.

Były to wybuchy bomb i ostrzeliwanie obiektów. Gospodarz przybiegł, aby powiadomić rodzinę o stanie rzeczy i polecił zejść z górki, jak również pozostać w otwartym miejscu. Wszyscy zaczęli ubierać się w popłochu, wdziewając na siebie, co kto miał. Wnet cała rodzina zaczęła schodzić w dół po drabinie. Zawsze w tej samej kolejności – poczynając od ojca, a skończywszy na Marysi. Chaim zaczął gorączkowo szukać schronienia dla rodziny. Wreszcie zdecydował się na poddasze, miejsce na wprost otwarte, osłonięte dachem i trzema ścianami. Przechowywano tam narzędzia rolnicze i beczki, które służyły do kiszenia kapusty i ogórków na okres zimy.

Ojciec zajął pozycję za jedną z beczek. Za nim matka, Fela i Marysia zamykająca krąg. Każdy wybuch, a były to silne wstrząsy, sprawiały, że Lea potrzęsała Chaimem, pytając czy żyje. Marysia nie miała rozeznania w czasie. Ale to kilkugodzinne siedzenie za beczkami, jak się później okazało, wydawało się wiecznością.

Wreszcie wszystko ucichło

Księżyc stał wysoko na niebie, uśmiechając się do Marysi, jak również gwiazdy usiały niebo, co dawało okazję do liczenia, dla zabicia czasu. Raz, dwa, trzy, liczyła w myślach, dziwiąc się ich ogromnej ilości. Chłodnawy wiatr muskał policzki Marysi, jak gdyby rozpraszając troski z dziecinnego umysłu, a kamień, który przytłaczał jej serce, zaczął kruszyć się stopniowo, aż w końcu nie zostało mi nim śladu. Szeroki uśmiech wystąpił na jej twarzy i ogrom szczęścia zawładnął jej jestestwem.

## **Ucieczka Niemców i opuszczenie na zawsze górki**

Lotnisko Niemców – jak je nazywano – czy też ich kwatera – opustoszały wkrótce. Niemcy uciekali w popłochu. Rodzina Dorfsmanów pozostała na razie jeszcze dla pewności

jeszcze kilka dni u rodziny Kowalczyków. Po paru dniach, Chaim zaczął rozglądać się w poszukiwaniu kwatery dla całej rodziny. Z rozmów rodziców wynikało, że nie należy spieszyć się z powrotem do miasta z powodu niepewnych czasów, bo kto wie, co jeszcze się może zdarzyć. Drugim argumentem był fakt, że należy dać czas na odżywienie dzieci, aby doszły do siebie – tak tłumaczyli rodzice. Po kilkudniowych poszukiwaniach, Chaim znalazł lokum w innej wsi, oddalonej o kilka kilometrów. Tam mieli zamieszkać, a w zamian za to ojciec zobowiązał się obszyć wszystkich członków rodziny. Fela miała paść krowy, czyli miała być pastuszką w wyniku sytuacji, bo nie z własnego wyboru.

Pewnego poranka zatoczyła się na podwórze furmanka zaprzężona w dwa konie, a woźnicą jej był młody człowiek. Rozstanie z rodziną Kowalczyków było krótkie.

Rodzina Dorfsmanów, po umieszczeniu tobołka, w którym mieściło się całe ich mienie, wdrapali się jedno po drugim na furmankę, odjeżdżając do innej wsi, do innych warunków, do innych ludzi.

Od owego dnia miał się zacząć okres nowego życia, bez strachu, bez wojny, bez niekończących się szeptów. Wolno będzie chorować, mieć gorączkę, kasłać, kichać, śmiać się i płakać.

## **Nowe dni w nowym miejscu**

Rodzina dojechała do innej wsi. Wjeżdżając we wrota, zatrzymała się po środku podwórza. Powoli wszyscy zeszli z furmanki. Rodzice i dzieci zaproszeni zostali na posiłek. Wprowadzono ich do izby, gdzie po środku ustawiony był stół, a na nim – dużo jadła.

Do siedzenia służyły ławy.

Po usadowieniu się, Marysia zobaczyła duży dzban mleka, duży bochen chleba, a obok na talerzach leżały placki, czyli ciasta drożdżowe nadziane serem. Mleko było jeszcze ciepłe, bo z południowego udoju. Tu zaczęła się uczta dla Marysi. Mogła jeść i pić ile chciała, bo gospodyni domu nawet ją zachęcała do jedzenia.

Później wszyscy pokrzepieni posiłkiem i odprężeni, usłyszeli gospodarza, który informował Chaima, że zamieszka z rodziną w przybudówce, oddalonej o kilkanaście metrów od nich, na tym samym podwórzu.

W przybudówce mieścił się jeden pokój o jednym oknie, z którego widać było podwórze jak na dłoni. Pokój był dość duży. Dwa łóżka, stół, dwie ławy do siedzenia i piec, który służył do gotowania i jednocześnie ogrzewania, stanowiły cały sprzęt. Gospodyni i gospodarz byli młodymi ludźmi, mieli dwóch synów. Jeden z nich – Józio, w wieku Marysi, rudzielec o twarzy usianej piegami, zaś drugi – jego brat – był chłopcem w wieku około trzech lat i na imię było mu Waldek.

Razem z nimi mieszkał ojciec gospodarza, dziadek chłopców, którego również Marysia później nazywała dziadkiem. Urządzeni nowego domu było niemal rytuałem dla Lei. Gospodyni pomogła jej w tym, dając trochę rzeczy niezbędnych do codziennego użytku. To miejsce miało być ich domem, aż do całkowitego opuszczenia, to znaczy wyjazdu do Lublina, miejsca urodzenia Marysi.

Codziennie rano Fela wstawała do pracy. Powoli ubierała się, po czym gospodyni przynosiła dla niej śniadaniem, które składało się niezmiennie od początku do końca z barszczu zrobionego z buraków cukrowych i kartofli tłuczonych, czyli purée z dodatkiem smażonej cebuli. Zapach był wyborny i podniecał podniebienie. Marysia pochłaniała w myślach cały ten posiłek w ciągu dwóch minut. Fela nie była skora zostawić niedojedzonego kęsa dla niej, na otarcie łez. Ona musiała mieć siłę do pracy, którą parała się od godzin porannych, aż do południa w ciągu całego okresu pobytu w nowym miejscu. Po zjedzeniu śniadania Fela wyganiała krowy z obory na pastwisko oddalone o kilometr od zabudowań. Idąc, trzymała w jednej ręce kij, a w drugiej laskę, na której się wspierała. Marysia natomiast zostawała w domu, przyglądając się wszystkim czynnościom z okna, a było tych czynności wiele. Konie również wyganiano na pastwisko. Tym zajmował się parobek, czyli człowiek młody, wynajmowany do pracy. Innym zajęciem było karmienie kur, czym zajmowała się gospodyni. Nawoływała ona ptactwo głośno, aż gromadka kur i kogutów zbierała się wokół niej. Wtedy wysypywała dal nich jedzenie. Dziadek reperował różnego rodzaju sprzęt rolniczy. Do innych zajęć należało również rąbanie drzewa. Używano je do opału. Gotowano na drzewie, pieczono i tym samym ogrzewano dom w porze zimy. Ciągnięto wiadrami wody ze studni, która mieściła się po środku podwórza. Zaprzęgano konie do furmanki i wyjeżdżano w pole do pracy. Dość dużo ludzi krzątało się wokół wszystkich zajęć. Gospodyni zostawała w domu, zajmując się gospodarstwem. Wypiekała, gotowała, sprzątała, prała i oczywiście wychowanie dzieci należało do jej obowiązków.

W zniwa, w okresie koszenia zboża, wynajmowano wielu ludzi ze wsi.

I wtedy gospodyni miała więcej pracy, bo gotowała ona dla wszystkich posiłki. W porze obiadu parobek przyjeżdżał i zabierał przygotowane jedzenie w pole. Dziadek, oprócz różnego rodzaju napraw, zajmował się również wnukami częściowo. Po oswojeniu się z terenem, jak również poznaniem chłopców i dziadka, Marysia przyłączyła się do nich. Była później towarzyszem ich zabaw i rozmów do końca pobytu u nich. Ojciec siedział od rana do wieczora przy szyciu ubrań. Przerывał jedynie pracę dla zjedzenia posiłku. Matka gotowała codziennie dla całej rodziny. Trochę też pomagała ojcu w pracy. Wykańczanie, jak na przykład przyszywanie guzików czy prasowanie, była w stanie wykonywać. Oczywiście to wszystko robiła pod kontrolą fachowego oka ojca. Po zapadaniu wieczora, siedziało się przy naftowej lampie i rozmawiało o różnych wydarzeniach dnia, czy też najbliższych, które miały nastąpić.

Mówiono o sytuacji kraju, kto we wsi zmarł, kto wkrótce ma się żenić, kto z kim flirtuje, kto z kim się sąduje o ziemię, i.t.d.

W niedalekim sąsiedztwie mieścił się sztab rosyjski, gdzie stacjonowali żołnierze i żołnierki. Wiezorami dolatywał śpiew rosyjskich piosenek. Śpiewano tak zwane czastuszki, opowiadające o miłości, o zalotach, czasami o zawiedzionej miłości. Melodie były bardzo ładne, wpadające z lekkością w ucho słuchacza. Marysia słuchając siedziała zahipnotyzowana pięknem tych melodii, bo słów wówczas nie rozumiała.

## **Wesołe zabawy i piękne opowiadania dziadka**

Ulubioną zabawą była zabawa w chowanego. Chowano się, zaklepywano odnalezionego i tak w kółko. Czasami dzieci śpiewały różne piosenki wyuczone przez dziadka.

Bywało też, że dziadek siadał i zaczynał opowiadać dzieciom bajki albo ludowe legendy w bardzo ciekawy sposób. Marysia lubiła słuchać legend. Wsłuchana w nie mogła siedzieć godzinami nie ruszając się z miejsca.

Jedną z takich legend było:

Dawno, dawno temu starzy ludzie opowiadali o ruinach zamku, w których ukryte były skarby. Gdyby ktoś je znalazł, to by już nie musiał do końca życia pracować. Różni śmiałkowie próbowali dobrać do owych skarbów, ale nikt nie ośmielił się wejść do piwnicy zamkowej, gdzie były przechowywane. Aż wreszcie znalazł się jeden chłopak, który

powiedział sobie, że niczego się nie boi i musi odnaleźć te skarby. Noc wtedy była księżycowa, jasna i łatwo było odnaleźć owe ruiny zamku. Chłopiec szedł śmiało, nie bojąc się niczego i nikogo, aż wreszcie dobrnął do ruin zamku. Wejście było przystrojone, jakby na jego cześć. Schody prowadzące do piwnicy były przystrojone czerwonym suknem, a w ścianach [było] oświetlenie, pozwalające w odnalezieniu drogi do skarbu. Zszedł w dół i znalazł się w pierwszej piwnicy. Było tam mnóstwo sprzętów, a na straży stały trzy duże, czarne psy. Ale chłopiec nie zląkł się psów. Szybko oswoił się z nimi i zaczął się rozglądać po piwnicy. Wnet dojrzał otwór i zaczął iść w tę stronę i nagle znalazł się w drugiej piwnicy. Pięknie było w tej piwnicy, wszystko błyszczało od srebra. Ale tu również stały na straży trzy ogromne psy, większe od poprzednich. Znow oswojony z psami, dostrzegł otwór prowadzący do podziemia. Tutaj znow zetknął się z psami, które groźnie warczały, ale pogłaskawszy je poszedł dalej, aż wreszcie dobrnął do czwartej piwnicy. Tu był tak olśniony tym, co zobaczył, że wprost zapało mu dech. Pełno złota, brylantów, drogocennych skarbów, wprost nikt nigdy nie mógł śnić o czymś podobnym. Było tak widno od tego, jak w najjaśniejszy słoneczny dzień. Chcąc przyjrzeć się bliżej tym cudom, schylił się i nagle dojrzał węża – krzyknął więc ze strachu. Nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystkie skarby znikły i zrobiło się całkowicie ciemno. Ze strachem i po omacku dobrnął do wyjścia z piwnic. Od tego czasu nikt więcej nie usiłował odnaleźć tych bogactw. Owe skarby mógł znaleźć jedynie ktoś, kto nie znał strachu.

Marysia często wracała do tej legendy myślami. W czasie zaboru niemieckiego żyli wciąż w strachu, myślała. Psy porównywała do tych wszystkich, którzy współpracowali z Niemcami. Natomiast wężem był każdy z Niemców, których absolutnie i bez wyjątku wszyscy się bali. Strach istniał kiedyś i nadal istnieje, myślała, i pewnie z tego wniosek, że ludzie nie są w stanie oprzeć się strachowi, bo jest on zwiastunem zbliżającego się niebezpieczeństwa. Takie i inne refleksje nasuwały się Marysi każdego wieczoru przed zaśnięciem.

## **Powrót do Lublina**

Po roku pobytu na wsi, jako wolni ludzie, wyzwoleni spod okupacji niemieckiej, zaczęli myśleć o powrocie do Lublina. Chaim obmyślał gorączkowo jak zorganizować powrót, aby okazał się on zadowolający wszystkich. Toteż wyjeżdżał on dwa czy trzy razy do Lublina uprzednio, dla przygotowania gruntu.

Miasto Lublin było opustoszałe od ludności pochodzenia żydowskiego, wobec czego mieszkań nie brakowało. Rodzina wprowadziła się do trzypokojowego mieszkania położonego przy pryncypalnej ulicy zwanej Krakowskim Przedmieściem. Ulica ta ciągnęła się od Bramy Krakowskiej aż do Ogrodu Saskiego, w którym to Marysia, w parę lat później miała spędzać dużo godzin, spacerując tam z koleżankami i kolegami. Było to miejsce bardzo lubiane przez nią, z mnóstwem kwiatów i starych drzew, ocieniających aleje. Ogród ten był cichą przestrzenią dla wszystkich, którzy szukali spokoju, wytchnienia, jak również był on cudownym miejscem dla zakochanych par. Za Ogrodem Saskim ciągnęły się już Aleje Raławickie.

A w ogóle, jako rodzinnemu miastu, miejscu urodzenia Marysi i spędzenia wielu lat w nim - należy się wiele słów dokładniejszego opisu. Lublin w tamtych czasach liczył około 200 tysięcy mieszkańców. Jest, jak również wówczas było bardzo ładnym miastem o dużej ilości zieleni. Lublin jest miastem historycznym, o bogatej kulturze. Prowadziło już wtedy, w latach powojennych, dwa uniwersytety i uczelnię zwaną Akademią Medyczną. Miasto to posiadało wiele ośrodków kulturalnych, między innymi Teatr imieniem Juliusza Osterwy, który wówczas mieścił się i nadal pozostał przy ulicy Narutowicza. W ciągu stulecia przesunęła się cała plejada sławnych aktorów, którzy grali i występowali na scenie tego teatru – ładnego teatru, z lożami, kandelabrami i czerwonymi dywanami. Do nie mniej szczyjących się sławą należała operetka lubelska o bogatym repertuarze.

Lublin posiadał wiele restauracji, kawiarni, kilka szpitali i wiele innych ośrodków, których nie sposób wyliczyć. Było w nim wiele zaułków no i peryferie miasta, które dziś szczyć się dzielnicami mieszkaniowymi.

## **Epilog**

Wszystkie marzenia Marysi, z czasów okupacji niemieckiej na „górcie”, o płynnym czytaniu i pisaniu ziściły się bardzo szybko. Przeobrażała się ona stopniowo w pannę, później w kobietę. Po ukończeniu gimnazjum wyszła za mąż i wydała dzieci na świat, co było również jej marzeniem. Opuściła ona granice Polski 18 grudnia 1968 roku.